



PIOTR ŻYMEŁKA

CIEŃ
TEMPLARIUSZY

LITERATE

*Rodzicom, dzięki którym jestem tym kim jestem
i jestem tu, gdzie jestem.
Kocham Was.*

Prolog

Aleksandria, listopad 641 rok n.e.

Amr ibn al-'As¹ stał na wzgórzu i w milczeniu patrzył na podbite miasto. Uśmiechnął się lekko do swoich myśli. Gdy wyruszał na czele arabskiej armii na Egipt, nawet mu się nie śniło, że w tak krótkim czasie odniesie zwycięstwo. Wierzył w wygraną; odebranie niewiernym ziem, na których bezprawnie się panoszyli, obrał za cel swojego życia, jednak do samego końca nie wyzbył się wątpliwości. Udana kampania oznaczała, że jego czyny znalazły uznanie w oczach Allaha.

Trwająca dwa lata wyprawa była nieprzerwanym pasmem sukcesów żołnierzy Amra, choć kosztowała ich wiele wysiłku, wyrzeczeń, i pozostawiła po sobie ogrom blizn i ofiar. Przed oczami stanęły mu wszystkie etapy wojny – zdobycie Peluzjum, niespodziewane natarcie wrogich sił pod Bilbajs, kilkumiesięczne oblężenie egipskiego Babilonu czy rozbicie oddziałów bizantyjskich w wielkiej bitwie pod Heliopolis. Ten ostatni tryumf oznaczał, że niewierni stracili kontrolę nad Egiptem. I wreszcie Aleksandria. Wielka Aleksandria, kluczowe, bogate nadmorskie miasto. Założone przez Aleksandra Wielkiego stało się wkrótce tygłem kulturowym, podporą handlu królestwa piramid. Każde z podbitych miejsc zostawiało po sobie ślady w duszy dowódcy Arabów. Amr widział agonię swoich ludzi, cierpienie i rozpacz

¹ Amr ibn al-'As – żyjący w latach 583 - 664 sahab (bliski towarzysz) Mahometa. Był dowódcą wojsk arabskich w trakcie podboju Egiptu.

w obliczu uciekającego z powodu odniesionych ran życia. Ale nawet perspektywa śmierci nie gasiła w ich oczach fanatycznej woli walki.

Kalif Umar będzie zadowolony, pomyślał Amr.

Zagłada Bizantyjczyków pod Heliopolis sprawiła, że Aleksandria stała się właściwie bezbronna. Dowódcy oddziałów arabskich chcieli od razu ruszyć w jej kierunku i przypieczętować zwycięstwo. Amr wiedział jednak, że potężne fortyfikacje otaczające miasto pozwalały niewielkiej sile skutecznie odparować ataki znacznie liczniejszych oddziałów. Dlatego nie spieszył się z natarciem. Postanowił rozłożyć obóz pod murami i poczekać na rozwój wypadków. Doskonale zdawał sobie sprawę, że prefekt Cyrus², władca Aleksandrii, jest miękkim, nielubianym przez podwładnych człowiekiem i widząc potężną armię u progu swojego domu, postawi raczej na pertraktacje niż na zbrojny opór. I nie pomylił się. To właśnie Cyrusowi Amr zawdzięczał niemalże bezkrwawe zwycięstwo, a oddziały bizantyjskie konieczność szybkiego opuszczenia miasta.

Pogładził brodę, wciąż patrząc na kamienne budowle rozmieszczone wzdłuż wąskich uliczek. Gdyby ktoś nie wiedział, że Aleksandria została zdobyta kilka dni wcześniej, nie wynioskowałby tego, obserwując toczące się normalnym rytmem życie. Mieszkańcy spieszyli gdzieś, zajęci swoimi sprawami, kupcy zachwalali towary, tragarze ładowali różnorakie artykuły na okręty, żebracy uprawiali swoje rzemiosło ze zwyczajowym zaangażowaniem, kuglarze prezentowali sztuczki, dzieci bawiły się, nie zważając na piekielny gorąc, a najbardziej religijni wznosili modły w różnych językach do różnych bóstw. Jedynie obecność leniwie spacerujących, ale czujnych Arabów

² Cyrus – żyjący w VII wieku patriarcha Aleksandrii.

świadczyła o zmianie władzy w mieście.

Amr zabronił żołnierzom plądrować, zabijać i gwałcić. Surowo karał niesubordynację i nie znajdował litości w sercu dla tych, którzy umyślnie lekceważyli jego rozkazy. Stanowczo sprzeciwiał się prześladowaniom na jakimkolwiek gruncie, szczególnie religijnym. Chrześcijanie i Żydzi mieli zagwarantowaną wolność w odprawianiu nabożeństw.

Był wojownikiem, ale lubił również mówić o sobie jako o filozofie. Dużo rozmyślał i wierzył, że ludzie w gruncie rzeczy kierują się dobrem. Cenił kulturę i sztukę, choć miał na ich kontemplację tak mało czasu. Dawno zdobył umiejętność czytania i oddawał się temu zajęciu w każdej wolnej chwili, a wszelkie przejawy niszczenia literatury uważał w głębi duszy za najgorszą zbrodnię.

Wyjąwszy krótki miecz, Amr przyjrzał się ostrzu, lśniącemu w promieniach słońca. Nie miał ostatnio zbyt wiele okazji, by używać broni. W gruncie rzeczy cieszył się z tego. Był już nieco zmęczony podbojami, ale teraz, gdy zdobył najważniejsze miasto...

Z zamyślenia wyrwał go głos Hassana, jednego z dowódców, który miał pilnować porządku na ulicach.

– Znaleźliśmy coś interesującego – powiedział mężczyzna bez żadnych wstępów, pomijając nawet tradycyjne komplementowanie dowódcy. – Chyba powinienes to zobaczyć.

Amr cenił w swoich ludziach zdecydowanie. Wymagał, by w rozmowie z nim od razu przechodzili do sedna sprawy, samemu dając przykład. Nie oczekiwał natomiast sztywnego trzymania się konwenansów i pozwalał żołnierzom zwracać się do niego osobiście, jeśli mieli coś ważnego do zakomunikowania. Skinął więc głową i ruszył za Hassanem.

Zeszli ze wzgórza i zanurzyli się w pokryte wszechobecnym piachem uliczki. Kilkanaście minut maszerowali w milczeniu, mijając domy mieszkalne i stoiska handlarzy pełne najprzeróżniejszych towarów. Aleksandryjczycy nie zwracali uwagi na Arabów, a ci odpłacali im tym samym.

W końcu Hassan zatrzymał się przed sporych rozmiarów kamiennym budynkiem. Wysokie drzwi stały otworem. Wskazał je dłonią.

– Sam zobacz.

Amr przekroczył próg i wszedł do przestronnego pomieszczenia. Jeszcze nim znalazł się w środku, podejrzewał, co zobaczy. Mimo to widok zaparł mu dech w piersi. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki wypełnione papirusami oraz zwojami. Od podłogi aż po sufit i od wejścia aż do przeciwległego końca pomieszczenia. Również środek sali zajmowały regały uginające się pod ciężarem manuskryptów. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy dzieł. W powietrzu unosił się kurz, dziwnie pasujący do podniosłej atmosfery tego miejsca. Panowała nabożna cisza i niemalże świętokradztwem wydawało się jej zakłócanie.

– A więc to prawda – powiedział cicho z namaszczeniem. – Część zbiorów ocalała...

Hassan wkroczył za Amrem do pomieszczenia. W przeciwieństwie do swojego zwierzchnika nie zachwycał się widokiem zgromadzonej na półkach wiedzy. Podobne sprawy w ogóle go nie interesowały.

– Co chcesz z tym zrobić? – spytał rzeczowo.

Amr podrapał się w głowę. Najchętniej zachowałby miejsce w stanie nienaruszonym. Jednak, choć miał sporą autonomię, jeśli chodzi o kwestie związane z podbojem, najważniejsze decyzje musiał konsultować z kalifem.

– Jeszcze dziś wysłę wiadomość do Umara – odparł po namyśle.

Ruszył wolnym krokiem wzdłuż rzędów, chłonąc ducha zakłętego w zwojach. Dłonią muskał pergaminy. W pewnym momencie zatrzymał się i zwrócił do Hassana:

– Ktoś musiał się tym wszystkim zajmować. Znajdź go i przyprowadź do mnie.

– Czeka na zewnątrz – powiedział dowódca wypranym z emocji głosem i poszedł ku wyjściu.

Amr podjął wędrówkę po pomieszczeniu, a Hassan zniknął za drzwiami. Po dłuższej chwili wrócił z jakimś człowiekiem, wyraźnie wystraszonego.

– Ty jesteś opiekunem? – spytał Amr, nie patrząc w jego stronę. Przybysz skinął głową.

– Nazywam się Senuthius. Ale zwą mnie Strażnikiem Słowa. Arab zatoczył ręką koło, obejmując pomieszczenie.

– Nadal będziesz tu pracował – powiedział, wciąż nie zaszczycając Senuthiusa spojrzeniem. – Masz robić dokładnie to, co do tej pory.

– Z radością, panie – odezwał się opiekun.

Najwyraźniej uwielbiał swoje zajęcie.

– Za jakiś czas wydam dalsze dyspozycje – dodał Amr. – Przyślę ci też dwóch ludzi do pomocy.

– Nie potrzebuję... – próbował zaproponować Strażnik Słowa. Arabski dowódca nie dał mu skończyć.

– Jeszcze dzisiaj.

Później zlustrował salę po raz ostatni i niechętnie wyszedł na zewnątrz. Idąc gwarными ulicami, zastanawiał się, jaką decyzję podejmie kalif. Choć właściwie znał swojego pana na tyle dobrze, że mógłby działać samodzielnie i nie musiał pytać o zdanie Umara. Zdawał sobie jednak sprawę, że władca lubi o wszyst-

kim wiedzieć. A Amr nie zamierzał trzymać przed nim w tajemnicy, iż odnaleźli Bibliotekę Aleksandryjską.

Odpowiedź nadeszła w ciągu kilku tygodni. Posłaniec, młody chłopak, stał teraz przed wodzem w pełnym szacunku ukłonie. Gdy przybył do Aleksandrii, od razu skierował się do namiotu Amra, nie tracąc nawet czasu na choćby jeden łyk wody. Traktował swoją misję niezwykle poważnie.

– Niech Allah sprawi, by twoje zwycięstwa, panie, opiewano w legendach – powiedział, nie podnosząc głowy.

Amr uśmiechnął się.

– A ciebie niech zawsze prowadzi prostymi ścieżkami. Wstań – polecił i wskazał stojące na małym stoliku karafkę z wodą i miskę daktyli. – Posil się i napij, przyjacielu.

Chłopak spokojnie sięgnął po naczynie. Pił długo małymi łykami. Gdy skończył i otarł usta ręką, Amr zachęcił go gestem.

– Powiedz teraz, co masz do przekazania.

– Kalif Umar, niech Allah zawsze patrzy na niego łaskawym okiem, w swojej wielkiej mądrości postanowił, że jeśli te księgi zgadzają się z Koranem, to nie są nam potrzebne. Jeśli natomiast zawierają co innego, to są sprzeczne ze słowami Boga, więc należy je zniszczyć.

Amr, mimo że dokładnie takiego polecenia oczekiwał, posmutniał. Cóż za niepowetowana strata. Nie śmiał jednak sprzeciwić się woli władcy.

– Stanie się zgodnie z jego życzeniem – rzekł, patrząc gdzieś w dal, jakby próbując przeniknąć wzrokiem mury, by zajrzeć do wnętrza Biblioteki.

Posłaniec wziął garść daktyli i wychwalając przenikliwość i dobroć Amra, wyszedł z namiotu.

Arabski dowódca chwilę jeszcze siedział w milczeniu na miękkiej poduszce, ale w końcu westchnął ciężko, wstał i ruszył w kierunku miasta. Po drodze zaczęli patrolujących ulice żołnierzy i polecił im odnaleźć Hassana. Gdy dotarł do Biblioteki, ten już tam na niego czekał.

– Kalif wyraził swoją wolę – rzucił Amr.

Hassan pytająco uniośł brwi, a dowódca przekazał mu rozkaz zwierzchnika. Później dodał:

– Zawołaj Senuthiusa.

Gdy Strażnik Słowa wyłonił się z budynku, Amr rzekł, tym razem patrząc mu prosto w oczy:

– Postanowiłem, że Biblioteka zostanie spalona. – Ujrzawszy otwarte do protestu usta Senuthiusa, uniośł dłoń. – Jutro w południe. Chcę, żeby ten budynek zniknął z powierzchni ziemi, a wraz z nim jego zawartość pełna plugawych słów niewiernych. Moja decyzja jest nieodwołalna.

Odwrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem. Strażnik Słowa pokręcił głową z niedowierzaniem. Wydawało się nie do pomyślenia, by ktoś wykazał się takim barbarzyństwem. Senuthius kochał księgi, dlatego, choć strach ścisnął mu gardło, postąpił krok naprzód i zawołał za Amrem:

– Zaczekaj, panie.

Arab przystanął, nie odwracając się jednak.

– Skoro chcesz, żeby to wszystko zniknęło, pozwól mi wywieźć stąd tyle, ile zdołam. Odejdę z Aleksandrii i nigdy już mnie nie zobaczysz ani o mnie nie usłyszysz.

Hassan drgnął, gotów zareagować i przebić tego bezczelnego niewiernego ostrzem, ale powstrzymał się przed atakiem, cze-

kając na rozkaz dowódcy.

Amr wciąż nie się nie odwracał. W głębi duszy wieszował sobie przenikliwości – dobrze ocenił Strażnika Słowa. Może jednak tym razem literatura zatriumfuje nad fanatyzmem.

Minęło kilkanaście sekund. W momencie, gdy Senuthius chciał się znów odezwać, arabski dowódca rzekł:

– Będzie, jak powiedziałem. Biblioteka spłonie. Jutro.

Po czym znów ruszył przed siebie.

Senuthius już tego nie widział. Biegł. Miał mnóstwo spraw do załatwienia.

Hassan nie mógł natomiast uwierzyć własnym uszom. Stał oniemiały. Czyżby w słowach Amra zabrzmiało... przyzwolenie na pomysł tego bezbożnego psa? Przecież kalif wyraźnie rozkazał zniszczyć to siedlisko plugastwa i sprzecznych z wolą Allaha, parszywych kłamstw. Musiał coś zrobić... Ale co?

– Hassan! – zawołał Amr. – Potrzebuję cię. Musimy pomyśleć o naszym kolejnym celu.

Żołnierz ruszył za dowódcą. Jego spojrzenie pozostało spokojne. Ale w głębi duszy wrzało mu jak w kotle.

Zorganizowanie karawany w kilka godzin zdawało się sprawą niemożliwą, szczególnie w mieście niedawno podbitym, w którym życie jeszcze nie do końca wróciło do normalności. Na szczęście pomógł szacunek, którym otaczano Senuthiusa. Sześciu ochotników ciężko pracowało całe popołudnie, pakując zawartość półek na wielbłądy. Strażnika Słowa bolało serce na myśl, ile zwojów i papirusów musi zostawić. Pocieszał się, że przynajmniej część zdoła ocalić od zniszczenia i zapomnienia. Wyselekcjonował

te, które według niego powinny zostać załadowane do sakw w pierwszej kolejności. Bez trudu je odnalazł, choć niektórych nigdy nie był w stanie lub bał się przeczytać. Zawierały bowiem dawno zapomnianą mądrość starożytnych, która w niewłaściwych rękach mogła przynieść nieszczęście i pomór. A przynajmniej tak twierdzili kolejni Strażnicy Słowa, przekazując sobie tę wiedzę z pokolenia na pokolenie.

Przystanął na chwilę, otarł pot z czoła i rozejrzał się po wnętrzu Biblioteki. Choć znał jej każdy skrawek, przez moment czuł się tak, jakby patrzył na nią po raz pierwszy. Od setek lat kwitła tu nauka, a największe umysły oddałyby wszystko, by zajrzeć do środka. Nie widział tego na własne oczy, jednak z rozrzewnieniem wspominał czasy, gdy każdy podróżny, który przybywał do Aleksandrii i posiadał jakieś księgi, musiał oddać je do Biblioteki, by zostały skopiowane. Przechowywano w niej najwspanialsze dzieła, jakie zrodziły ludzkie umysły. Wiele zwojów zawierało wiedzę zapomnianą, zakazaną, a także niebezpieczną, a tuż obok nich leżały pergaminy wyjaśniające tajniki geometrii, astronomii czy filozofii. Opowieści o losach bogów dzieliły półki z greckimi i rzymskimi dramatami. A większość zbiorów dostępna dla każdego, kto tylko chciał zadać sobie trud i sięgnąć po zapisaną na kartach mądrość.

Senuthius, mimo zmęczenia, poczuł nagły przypływ sił. Rażącym krokiem przestąpił próg i sięgnął po skórzany worek wypełniony ciasno upchanymi zwojami. Nagle na zewnątrz rozbrzmiał jakiś hałas. Odgłos uderzenia i okrzyk bólu.

Strażnik Słowa wybiegł z budynku. Widok, który ujrzał, nappełnił jego duszę przerażeniem. Jeden z ochotników leżał na ziemi, a z jego rozbitej głowy ciekła krew. Obok stał oddział dzierżących miecze Arabów. Trzech trzymało również pochodnie.

Zaschło mu w gardle, ale zdołał krzyknąć:

– Co się dzieje?!

Najwyższy z napastników, w którym Senuthius rozpoznał Hassana, odezwał się, wykrzywiając usta w złym grymasie:

– Odejdź stąd, psie! Spalimy to siedlisko zła!

– Ale... przecież... dopiero jutro...

Hassan skoczył w kierunku Senuthiusa i uderzył go w twarz. Strażnik Słowa upadł.

– Milcz! Allah nie będzie czekał!

Po czym wbiegł do środka Biblioteki, za nim ruszyli Arabowie z pochodniami.

– Nie! – wrzasnął Senuthius, ale nie odważył się pójść ich śladem.

Spalą, zniszczą wszystko! Paniczne myśli napłynęły mu do głowy. Co zrobić? Co zrobić?

Wtem jego wzrok spoczął na wielbłądach. Tak! Może jeszcze ocalić niektóre dzieła. Nawet całkiem sporo. I to tych najcenniejszych, skrywających wiedzę tajemną i zawierających starożytną mądrość, dostępną jedynie wtajemniczonym!

Dwoma susami dopadł zwierzęcia stojącego na czele. Chciał wsiąść na jego grzbiet, ale jeden z Arabów, którzy nie podążyli za Hassanem, złapał go za ramię.

– Co robisz, parszywy bezbożniku?

Pociągnął i Senuthius znów znalazł się na ziemi. Przygotował się na cios i ból, które... Nie nadeszły. Pięciu ochotników rzuciło się na Arabów, okładając ich pięściami, kopiąc i waląc czymkolwiek, co wpadło im w ręce. Strażnik Słowa wiedział, że nie mają szans. Nie w starciu z uzbrojonym i przepełnionym gorliwą wiarą w słuszność swojego postępowania przeciwnikiem. Towarzyszami Senuthiusa byli prości rybacy i kamienia-

rze a nie wojownicy.

Nie tracił czasu. Błyskawicznie wdrapał się na grzbiet wielbłąda i mocnym uderzeniem piętami w bok zmusił go do biegu. Pozostałe zwierzęta, powiązane linami, chcąc, nie chcąc, ruszyły za pierwszym.

Senuthius otarł krew płynącą z kącika ust i przytulił się do śmierdzącej sierści. Jego głowę wypełniał jeden, głośny krzyk: UCIEKAĆ!

– Zatrzymać go! – Usłyszał za sobą wściekły głos Hassana.
– Nie dajcie mu uciec!

Gdzieś w tyle rozbrzmiały krzyki zabijanych ochotników, a także wzburzone wrzaski Arabów. Żołnierze ruszyli biegiem za karawaną Senuthiusa. Na otwartym terenie nie mieliby szans dogonić uciekinierów, ale tutaj, w wąskich uliczkach pełnych ludzi, tylko kwestią czasu było, gdy dopadną wielbłądy.

UCIEKAĆ! – huczało pod czaszką Strażnika Słowa. Pragnął dotrzeć na pustynię, tam będzie bezpieczny. Ale czy zdąży, nim ci żądni krwi barbarzyńcy wypatroszą go jak królika? Zacisnął palce na rękojeści niewielkiego noża, który miał przymocowany obok sakw z jedzeniem i wodą. Marna to broń w starciu z mieczami rozwścieczonych napastników, ale lepsza taka niż żadna.

Zaryzykował spojrzenie za siebie. Pogoń znajdowała się dość daleko, jednak z każdą chwilą dzielący ich dystans się zmniejszał. Gdyby tylko mógł ich jakoś zatrzymać...

Wpadł na pewien pomysł. Zwolnił, pozwalając, by jego wielbłąd zrównał się z tym, który biegł bezpośrednio za nim. Ignorując instynkt, nakazujący mu gnać przed siebie, zbliżył się do ostatniego zwierzęcia w karawanie. Błyskawicznie wyszarpnął nóż i wbił ostrze wielbłądowi w bok. Na rękojeść i rękę buchnęła ciepła krew. Pchnął jeszcze kilka razy, a następnie prze-

ciął linę łączącą zwierzę z karawaną. Ranny baktrian zaczął miotać się i wyć.

Napastnicy znajdowali się już tylko kilkanaście kroków od Senuthiusa, ale teraz na ich drodze stała oszalała z bólu bestia. Nie mogli jej wyminąć w wąskiej uliczce, a mieczami nie byli w stanie osłonić się przed gradem wymierzanych kopytami ciosów. Wielbłąd wierzgał, kopał, charczał, miotał się i gryzł, tryskając krwią oraz śliną i rycząc przeraźliwie.

Strażnik Słowa nie oglądał się za siebie. Wkrótce dotarł do końca uliczki i zniknął za rogiem. Niespełna godzinę później galopował w noc, wśród piasków pustyni, na grzbietach zwierząt unosząc ocalałe dzieła najtęższych umysłów minionych wieków. Ostatni ślad po trawionej właśnie przez ogień Bibliotece Aleksandryjskiej.

Paryż, czwartek, 12 października 1307 roku

Jakub de Molay³, Wielki Mistrz Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa Świątyni Salomona, zwanych potocznie Templariuszami, biegł co sił, ciężko dysząc. Miał już sześćdziesiąt cztery lata, z których większość wypełniła ciągła walka z wrogiem i przeciwnościami losu. Nogi bolały go przy każdym kroku, a mięśnie słuchały wprawdzie rozkazów mózgu, ale z coraz większym trudem. Nie mógł się jednak zatrzymać. Nie teraz, zbyt wiele rzeczy, ba, przyszłość Zakonu, zależały od jego decyzji. Czas płynął nieubłaganie, a wkrótce mogło być późno. Dlatego zmusił organizm do wyczerpującego wysiłku, zacisnął zęby i parł przed siebie.

³ Jakub de Molay – urodzony pomiędzy 1244 i 1249, zmarły w 1314 roku ostatni Wielki Mistrz Zakonu Templariuszy.

Korytarz w podziemiach paryskiej komandorii Templariuszy, stanowiącej główną kwaterę zgromadzenia, zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Rozmieszczone co jakiś czas pochodnie rozjaśniały nieco mrok, rzucając jednocześnie niewyraźne cienie, które sprawiały wrażenie, jakby de Molay wcale nie był sam. Nie zwracał na to uwagi, głowę wypełniały mu gorączkowe myśli, pot lśnił na czole, a strąki pozlepianych, tłustych włosów kołysały się przy każdym kroku. Tak gościnne niegdyś ściany, które przywykł nazywać domem, zdawały się teraz zimne i nieprzyjemne, a niosący się echem odgłos stóp wracał nieco stłumiony, potęgując wrażenie obcości.

Gdy wydawało mu się, że nie da rady dłużej biec, dotarł do końca korytarza. Chwilę później wyszedł z kaplicy i znalazł się na przestronnym dziedzińcu otoczonym grubymi murami. Złośliwi mówili, że paryska kwatera Templariuszy była prawdziwym miastem w mieście. Znajdowały się w niej ogrody, kaplica, stajnie, dom mieszkalny braci, piekarnia, browar i inne potrzebne w codziennym funkcjonowaniu Zakonu budynki. Nad wszystkim górowała Wielka Wieża, budząc respekt swoimi czterema kondygnacjami. De Molay minął ją, przeciął ogród, w którym uprawiano przydatne zioła, a także hodowano umilające oko kolorowe rośliny, i skierował się ku grupie rycerzy stojących pod główną bramą. Mijając trawniki, mimowolnie przypomniał sobie, jak pięknie dziedziniec wygląda wiosną – zielenią trawy, kwitnące drzewa, zapach kwiatów. Teraz wszystko to albo już umarło, albo żółkło i usychało. Od razu nasuwało się, że podobne słowa wkrótce można będzie rzec o Zakonie. Na tę myśl z piersi wyrwało mu się westchnienie.

– Naprawdę do tego doszło, Panie? – spytał cicho, patrząc w niebo.

Nie znalazł tam jednak odpowiedzi, toteż czym prędzej wrócił do rzeczywistości. Świeże powietrze nieco go orzeźwiło i zmęczenie przestało aż tak mocno dawać się we znaki.

Bracia stojący na dziedzińcu szeptali między sobą. Kilku poruszało jedynie ustami, nie mówiąc na głos. Modlili się. Na twarzach zebranych gości wyraz skupienia. Każdy zdawał sobie sprawę z wagi nadchodzących wydarzeń.

De Molay rzucił okiem na zaprzężone w muły wozy wypełnione sianem.

Na widok Wielkiego Mistrza bracia zamilkli. Ten otaksował ich uważnym spojrzeniem. Żaden nie miał na sobie zbroi ani nawet kolczugi. Ubrani w zwykłe, znoszone rzeczy, wyglądali jak grupka mieszczan, a nie zaprawieni w bojach rycerze, zdolni rozgromić najbardziej wytrawnych przeciwników.

Doskonale, pomyślał de Molay. Nawet miecze starannie pokrywali. Uśmiechnął się lekko i przystanął w niewielkiej odległości od towarzyszy broni. Otoczyli go półkolem.

– Bracia – zaczął. – Los spletał nam okrutny żart. Zakon znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nawet gdy broniliśmy Królestwa Jerozolimskiego przed najazdem bezbożników, nie groziło nam to, co tutaj. – Spojrzał z troską na mury komandorii. – Wkrótce wszystko ulegnie zmianie, nie możemy tego powstrzymać – urwał na chwilę i potoczył spojrzeniem po stojących przed nim postaciach – ale nie musimy się na to godzić. Wróg przyjdzie tym razem z innej strony. Dlatego my też zastosujemy inny rodzaj walki. Poczekamy! Przekujemy! Zwycięzimy!

Ostatnie słowa wykrzyczał, unosząc ręce. Przy „zwycięzimy” bracia przyłączyli się do niego i w niebo wznosił się głośny, pełen nadziei i determinacji wrzask.

– Przede wszystkim – podjął Wielki Mistrz – musimy ocalić nasze dziedzictwo. Bracia! Dzisiaj dumnie uniesiemy głowę i przeskoczmy przeszkodę, która przed nami wyrosła i wydaje się nie do pokonania. – Wskazał na wozy. – Tam znajduje się przyszłość. I waszym zadaniem jest ją zabezpieczyć.

Umilkł i spojrział każdemu z zebranych w oczy. Widział w nich niezłomną wolę walki i obietnicę wypełnienia misji. Nie ujrzał natomiast strachu, ale tego akurat się spodziewał – wybrał najdzielniejszych spośród braci, najbardziej zasługujących na zaszczyt powierzenia sekretu.

– Macie pakunki? – spytał.

Odpowiedziały mu zgodne skinienia.

– Aumount? – zwrócił się do jednego z rycerzy. – Odpowiadasz za eskortę ładunku.

Zagadnięty pokiwał głową.

– Wiesz, co robić?

Aumount znów skinął.

– Doskonale – powiedział de Molay. – Zatem niech Bóg was poprowadzi. W drogę! – rozkazał.

Bracia zaczęli wdrapywać się na wozy i już po chwili zaskrzyphiały koła, a woły leniwie ruszyły w kierunku bramy. Gdy zniknął ostatni pojazd, Wielki Mistrz westchnął. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nie zobaczy już nigdy członków tej wyprawy.

Na dziedzińcu, oprócz niego, pozostał jeszcze jeden siwy rycerz. De Molay znał go z Ziemi Świętej. Wiele razy walczyli ramię przy ramieniu. Bez wahania powierzyłby mu własne życie. Zresztą – w pewnym sensie właśnie to robił.

– Przyjacielu – zaczął – patrzyliśmy śmierci w oczy tak często, że nie sposób tego zliczyć.

Rycerz zamknął powieki i przytaknął.

- Dziś proszę cię, byś zrobił to ponownie – ciągnął de Molay.
- Niestety, bez mojej pomocy. Jestem potrzebny tutaj.
- To dla mnie zaszczyt, Wielki Mistrzu – odparł mężczyzna.
- Będę przy tobie myślami przez cały czas. Ruszaj. Nasza flota czeka na ciebie w La Rochelle. Jadąc bez przerwy, powinieneś dotrzeć na miejsce jutro wieczorem. Unikaj naszych komandorii. Siepacze króla wkrótce się w nich zjawiają.

Uścisnęli się i przytrzymali w objęciach przez kilka chwil. Później rycerz dosiadł konia i wnet zniknął w ciemności nocy.

Jakub de Molay został sam. Popatrzył w niebo i spędził tak ponad kwadrans. Poszedł do kaplicy i modlił się długo i żarliwie. Dołączyło do niego kilku braci. Później wrócił do swojej celi i położył się na sienniku. Czekał.

Przyszli o świcie. Oddział zbrojnych łuczników na czele z Wilhelmem de Nogaret⁴, sekretarzem generalnym królestwa Francji, oraz Renaldem de Roy⁵, głównym skarbnikiem. Załomotali w bramę i kazali otwierać w imieniu najjaśniejszego pana. Fulko, jeden z braci służebnych, odemknął wielkie odrzwia i wpuścił grupę do środka.

- Prowadź do wielkiego mistrza, parobku – rzucił oschle Nogaret.

Odkąd jego rodzina stała się, za domniemane kontakty z katarami, obiektem zainteresowania Świętego Oficjum, Nogaret z mściwą satysfakcją wyżywał się na członkach duchowieństwa, którzy zaleźli mu za skórę. Kapłani, zakonnicy, a nawet

⁴ Wilhelm de Nogaret – żyjący w latach 1260 – 1313 jeden z doradców króla Francji Filipa IV Pięknego. Pełnił bardzo ważną rolę w procesie Templariuszy.

⁵ Renald de Roy – główny skarbnik na dworze króla Filipa IV Pięknego.

mniszki, wszyscy schodzili sekretarzowi z drogi, nie chcąc prowokować odwetu.

Mimo klejących się powiek Fulko zwrócił uwagę na lekceważący ton przybyłego, a także jego umyślną zniewagę. W końcu bracia służebni również stanowili część zakonu, choć głównie zajmowali się wytwarzaniem elementów rycerskiego rynsztunku, dbaniem o komandorie, przygotowywaniem posiłków i tym podobnymi sprawami, należał im się szacunek. Fulko chciał zareagować na tę jawną bezczelność, ale gdy napotkał surowe oblicze Nogareta, postanowił puścić chamstwo płazem.

– On jeszcze śpi, panie – powiedział tylko.

Królewski urzędnik spiorunował go wzrokiem.

– Nie przyszlismy tu z wizytą towarzyską! Prowadź, nim wtrącę cię do lochu!

Fulko skapitulował i ruszył w kierunku budynku mieszczącego cele braci. Po kilkuminutowym spacerze stanęli przed komnatą Jakuba de Molay. Brat służebny chciał zapukać, ale Nogaret bezceremonialnie pchnął drzwi i wraz z trzema zbrojnymi wkroczył do środka.

– Wielki Mistrz! Jesteś aresztowany!

Na obliczu de Molaya próżno było szukać zaskoczenia. Spodziewał się takiego obrotu spraw od co najmniej kilku dni. O tym, że coś się wkrótce zacznie dziać, świadczyła niezwykle starannie przeprowadzona inwentaryzacja dóbr zakonnych, która odbyła się w ostatnim czasie. Wysłannicy króla przykładali się do swojego zadania jak nigdy, zaglądając w każdy kąt i notując wszystko, co posiadało choćby minimalną wartość.

Poza tym, gdy poprzedniego dnia Wielki Mistrz przebywał wraz z całym królewskim dworem na pogrzebie Katarzyny de Courtenay, małżonki Karola de Valois, otrzymał ostrzeżenie o pla-

nowanych aresztowaniach. Ktoś z tłumu podszedł do niego i wyszeptał, że Filip zamierza przeprowadzić błyskawiczne przejście majątków Templariuszy. De Molay nie miał wiele czasu na działanie i nie mógł powiadomić braci w rozsianych po Francji komandoriach, ale mógł przynajmniej ocalić to, co najcenniejsze.

– Na jakiej podstawie? – spytał de Molay, podnosząc się z siennika.

Wilhelm spojrział na niego z góry. W jego oczach rycerz dostrzegł blask tryumfu i nieskrywaną niechęć.

– Wszystkiego dowiesz się we właściwym czasie! Wstawaj!

De Molay spełnił jego rozkaz. Wiedział, że przemocą i oporem nic nie wskóra. Poza tym członkowie zakonu nie podlegali pod jurysdykcję królewską. Tylko ojciec święty mógł ich sądzić. Czuł się więc w miarę bezpieczny, choć doskonale wiedział, że papież robi to, co król mu każe. Liczył jednak, że następca świętego Piotra nie pozwoli na tak jawne pogwałcenie prawa kanonicznego.

– Dobrze – powiedział spokojnym tonem. – Proszę o chwilę cierpliwości. Chcę się ubrać.

Nogaret skinął głową i wyszedł z celi. Po kilku minutach dołączył do niego Wielki Mistrz.

– Doskonale! Może nie jesteście wcale tak pełni pychy – rzucił Nogaret i ruszył przed siebie.

Zaczął mówić, nie odwracając głowy w stronę zakonnych braci.

– Komandoria oraz ruchomości znajdujące się na jej terenie zostają skonfiskowane przez Koronę! A wszyscy przebywający tu rycerze i służba są aresztowani.

Tego było już za wiele! Fulko nie wytrzymał:

– Nie możecie...!

Nogaret wszedł mu w słowo:

– Milcz! Zaczynasz działać mi na nerwy!

W przeciwieństwie do brata służebnego, de Molay wiedział, że nic nie osiągnie, dlatego zachował spokój.

– Król w dziwny sposób okazuje wdzięczność – rzekł cicho.

Nogaret tego już nie skomentował, a Wielki Mistrz kontynuował:

– Dobrze pamiętam ów dzień. Tłum by go wtedy rozszarpał. Udzieliliśmy mu schronienia, uratowaliśmy. A dziś przysła swoich zauszników, by wtrącić nas do lochu...

Przed oczami stanęły mu tamte wydarzenia – przerażony władca, uciekający przed rozwścieczonymi mieszczanami oskarżającymi go o „psucie pieniądza”. Gdyby Templariusze nie przyjęli wtedy monarchy pod swój dach...

Dopiero teraz Nogaret zareagował.

– To, co zrobiliście, nie zmyje waszych win! – warknął. – Wdzięczność lub jej brak nie ma tu nic do rzeczy! A zresztą – wzruszył ramionami – tłumaczyć będziecie się później.

Wyszli na dziedziniec, gdzie, otoczeni przez uzbrojonych strażników, stali rycerze i słudzy. Nogaret przystanął. Potoczył wzrokiem po więźniach i krzyknął:

– Zabrać ich!

Następnie zwrócił się do de Molaya:

– A my pójdziemy do skarbcza. Razem z królem.

Wielki Mistrz nie odpowiedział, ale w głębi duszy uśmiechnął się chytrze. No to czeka was niespodzianka, pomyślał.

Filip IV Piękny, król Francji i Nawarry, hrabia Szampanii, przybył do Templum, jak nazywano komandorię zakonu w Paryżu, w samo południe. Stał przed Jakubem de Molay i smutno

pokręcił głową.

– Łamiesz mi serce, Jakubie – rzekł z udawaną troską. – Ty, ojciec chrzestny mojego syna, w samym środku plugawego grzechu.

Wielki Mistrz zmarszczył brwi.

– Sprytnie to sobie wymyśliłeś, najjaśniejszy panie. Możesz oszukiwać swoich poddanych, swoich służących – to mówiąc, popatrzył na Nogareta – ale mnie i Boga nie ołgasz. Wiem, że chodzi ci tylko o pieniądze.

– Boga w to nie mieszaj, grzeszniku – odparł wyniośle Filip.

Nie zamierzał tolerować takiego tonu, nawet ze strony Wielkiego Mistrza.

Żołnierze obserwowali tę wymianę zdań z zaciekawieniem. Żaden z nich się nie odezwał, ale broń trzymali w pogotowiu, by natychmiast zareagować.

– Bóg osądzi twoje występki, panie – rzekł de Molay.

Następnie zwrócił się do Fulka:

– Zaprowadź króla do skarbcza, bracie.

– Nie trzeba – zaproponował Filip z ironicznym uśmiechem.

– Znam drogę.

Wkrótce stanęli przed wzmocnionymi żelazem drzwiami. Na polecenie Nogareta zostały one otwarte. Weszli i otworzyli usta ze zdziwienia. Nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Sala świeciła pustkami. Nie było w niej nic, nawet złamanego liwra. Oblicze monarchy poczerwieniało.

– Gdzie to jest?! – krzyknął. – Co zrobiłeś ze złotem?! – spytał, patrząc na Wielkiego Mistrza z nienawiścią.

De Molay rozłożył bezradnie ręce.

– Zakon miał ostatnio spore wydatki – powiedział.

Król wściekł się jeszcze bardziej.

– Kłamiesz!

– Ależ nie! Jak sam widzisz, panie, nie mam tu nawet jednej monety.

Filip IV Piękny zacisnął dłonie w pięści. Czyżby cały misterny, od miesięcy przygotowywany plan, miał nie przynieść królestwu tak potrzebnego zastrzyku gotówki?

Zwrócił się do Nogareta:

– Przetrzęsnać tu każdy kamień! Rozkuć ściany i posadzki, jeśli będzie trzeba! Znaleźć i skonfiskować majątek Zakonu!

Wilhelm de Nogaret przekazał rozkaz króla swoim ludziom i odszedł wydać dalsze dyspozycje. Filip nachylił się ku Jakubowi i wycharczał mu prosto w twarz:

– Lepiej dla ciebie, jeśli wyjawisz, gdzie ukryłeś kosztowności.

Nazwanie ironicznym uśmieszku, który pojawił się na twarzy Wielkiego Mistrza, byłoby niedopowiedzeniem.

– Jakie kosztowności? – spytał z satysfakcją. – Czyżbyś zapomniał, że w nazwie naszego Zakonu widnieje słowo „ubogi”?

– Pożałujesz tego! – wysyczał przez zaciśnięte zęby król.

Miał ochotę wrzeszczeć, bić, kopać i gryźć. Ale musiał zachowywać się jak monarcha. Wybuch dzikiej wściekłości na pewno nie pomoże mu w odnalezieniu majątku Templariuszy. Spojrzał na zbrojnych.

– Zabrać go! – rozkazał, a wprost do ucha Jakuba de Molay szepnęła: – Jeszcze wszystko mi wyśpiewasz.

Wielki Mistrz popatrzył mu prosto w oczy.

– Niech Bóg wybaczy ci twoją chciwość, Filipie – odrzekł spokojnym, głębkim głosem, z którego pobrzmiwało autentyczne współczucie dla bliźniego.

Dwóch potężnych żołnierzy króla stanęło po obu stronach de Molaya i bezceremonialnie go popychając, wyprowadzili zakonnik ze skarbcza.

Cały teren komandorii został w ciągu kilku kolejnych tygodni dokładnie przeszukany, ale nie znaleziono nawet jednej monety ani nic, co miałoby jakąkolwiek wymierną wartość. Zniknęło również archiwum Zakonu, a flota osiemnastu okrętów, która stacjonowała w La Rochelle, odpłynęła w nieznanym kierunku.

Paryż, 17 marca 1314 rok

Jakub de Molay jęknął i przewrócił się na bok. Leżał na brudnym, cuchnącym, pełnym pcheł i pluskiew sienniku. Jego umęczone ciało przenikał ból obejmujący każdą, najmniejszą nawet cząstkę. Siedem lat wypełnionych fałszywą nadzieją, momentami rozpacz i torturami zamieniło niegdyś pewnego siebie, dumnego mężczyznę we wrak człowieka. Zostało mu niewiele ponad dwadzieścia godzin życia, ale nie myślał o końcu. Nie bał się. Będąc wojownikiem, wiele razy zaglądał śmierci w oczy. Tam, w Ziemi Świętej, często otoczony przez krwiożerczych Saracenów wiedział, że każdy dzień może być tym ostatnim i pogodził się z tym już dawno. Akceptował to jako część swojej misji. Ale nigdy nie przypuszczał, że decydujący cios spadnie ze strony chrześcijanina, a do tego króla, i jak mu się zdało, przyjaciela. Nie, uczucia, które w tej chwili wypełniało jego duszę, nie mógł nazwać strachem, raczej rozczarowaniem.

Siedem lat upłynęło od aresztowania Jakuba de Molay oraz innych Templariuszy. Król wraz ze swoim sekretarzem generalnym perfekcyjnie zaplanowali uderzenie na Zakon. Tego samego dnia, trzynastego października, do większości francuskich komandorii wkroczyli zbrojni, zajęli cały zgromadzony w nich majątek i aresztowali braci. Rycerzom postawiono sto

dwadzieścia siedem wyspanych z palca zarzutów. Niektóre były zwykłymi kłamstwami, inne błędnie interpretowały różne zdarzenia lub miały swoje źródła w zawistnych plotkach, a jeszcze inne aż nadto wyraźnie wskazywały autorów całej tej farsy.

Wielki Mistrz westchnął. Oczywiście, plan Filipa powiódł się tylko dlatego, że papieżowi Klemensowi V brakowało siły charakteru, by przeciwstawić się królowi. De Molay z początku liczył na korzystne dla Zakonu zakończenie procesu, po przedstawieniu sprawy ojcu świętemu. Jednak przeliczył się, bo choć następca Świętego Piotra kilka razy próbował jakoś pomóc Templariuszom, to nigdy otwarcie nie sprzeciwił się Filipowi.

Wkrótce śledczy, spośród których wielu należało do siejącego grozę Świętego Oficjum, znaleźli całe mnóstwo dowodów potwierdzających oskarżenia. Oczywiście o niczym to nie świadczyło. Torturowany odpowiednio długo i bestialsko człowiek przyzna się do wszystkiego. Nawet on sam, Wielki Mistrz Jakub de Molay, nie oparł się pokusie uniknięcia bólu. Śledczy wymieniali przewinienia, a on przytakiwał, z każdym kolejnym skinieniem głowy besztając się w duchu za brak siły woli. Wprawdzie czuł się wtedy całkowicie zagubiony, ponieważ z wolna docierało do niego, że papież nie zdoła, a może wcale nie chce ocalić Templariuszy przed siepaczami króla Francji. Klemens grał tak, jak Filip mu zagrał. De Molay zaczął akceptować fakt, że Zakon przestanie istnieć, a on sam stanie się w ten sposób ostatnim Wielkim Mistrzem. Zhańbionym i niegodnym tego tytułu, skoro nie potrafił ochronić zgromadzenia przed zniszczeniem. I mimo że później odwołał zeznania, czym przypięczętował swój los, wciąż czuł się jak najnędnieszy grzesznik.

W tym wszystkim marnym pocieszeniem było, że zdołał uchronić dziedzictwo Templariuszy i ich największy skarb przed zagarnię-

ciem przez króla. A przynajmniej miał taką nadzieję, bo jak dotąd nie otrzymał wiadomości czy bracia, którzy wyruszyli w drogę tamtego wieczora przed aresztowaniem, zdołali wypełnić swoją misję. Nie miał już nadziei na ocalenie – nazajutrz czekały go płomienie stosu – ale od wizji śmierci w męczarniach, znacznie bardziej przerażała go świadomość, że umrze, nie wiedząc, czy siedem lat wcześniej podjął słuszną decyzję. Czuł się sparaliżowany tą niewiedzą. Tortury fizyczne, głód i szykany zadawały mu cierpienie, ale nawet w połowie nie tak straszliwe jak niepewność. Bił się z własnymi myślami, przewidywał najczarniejsze scenariusze i wyrzucał sobie brak umiejętności przewidywania i planowania z wyprzedzeniem.

– Hugonie de Payens – wyszeptał cicho, wzywając imię założyciela Zakonu – wybac mi, że zaprzepaściłem twoją pracę. Boże mój jedyny, nie byłem godzien twojego zaufania... Wybacz...

Głęboko wciągnął powietrze, a ciałem wstrząsnął przejmujący szloch. Ból mięśni i blizny paliły czasem żywym ogniem, ale prawdziwe cierpienie powodowały rany psychiczne. Nie zostało mu już nic.

– Umrę niespokojny – powiedział do siebie, dziwnie nagle obojętniejąc.

Zapał w męczący, pełen złych obrazów sen. Miotał się po sieniku i jęczał całą noc. Nad ranem zasnął wreszcie mocniej, zmęczony wyczerpującymi majakami. Śnił mu się Hugon de Payens, uśmiechający się dobrodusznie.

Obudził go szcęk zamka.

To już? – pomyślał. – Czas kaźni?

Do celi wkroczył strażnik, przynosząc skazańcowi ostatni

posiłek. Wielki Mistrz pozdrowił go, nie podnosząc głowy ani nawet nie otwierając oczu, tak jak za każdym razem, gdy ów człek wchodził do pomieszczenia. Dlatego zdziwił się, gdy usłyszał ciche słowa.

– Mam dla ciebie wiadomość, Jakubie de Molay.

Wielki Mistrz wyprostował się na swoim posłaniu. Całe ciało odpowiedziało paroksyzmem bólu, ale zignorował to, wpatrując się w strażnika oczami żądnymi wiedzy. Mimowolnie pozwolił sobie nawet na przyływ nadziei.

Czyżby...?

Strażnik tymczasem kontynuował, nie zważając zupełnie na nagłe ożywienie de Molaya.

– Aumont prosił, by ci przekazać, że zwierzęta znalazły swoje kryjówki. I że koniec może również oznaczać początek.

Po tych słowach postawił niedbale tacę z kubkiem wody i dwiema spleśniałymi kromkami chleba na kamiennej podłodze, a następnie wyszedł z celi.

Jakub de Molay odżył. A jednak! Dziedzictwo ocalało! Aumont osobiście sprawdził, czy wyznaczeni bracia wypełnili swoje zadania. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Tylko on jeden znał umówione hasło.

Nagle Wielki Mistrz poczuł przyływ optymizmu. Wprawdzie za kilka godzin czekała go straszliwa śmierć, ale teraz wiedział przynajmniej, że stanie przed Bogiem nie jako nieudacznik, który pogrzyżył Zakon, ale jako przywódca, który w tragicznym czasie zrobił wszystko, co tylko w jego mocy, by ocalić Templariuszy. A właściwie ich spuściznę. Po nim przyjdą inni i będą mogli kontynuować dzieło.

Uspokojony i pogodzony z losem, sięgnął po ostatnią w swoim życiu kromkę chleba. Z każdym kęsem uśmiechał się coraz szerzej.

Rozdział I

Berlin, czasy współczesne

Wszystkie wielkie stolicy mają jakieś charakterystyczne elementy – budynki, pomniki lub interesujące miejsca – które turyści odwiedzają w pierwszej kolejności, a firmy zarabiające na wciskaniu im tandetnych pamiątek wykorzystują to na potęgę. W Paryżu jest to Wieża Eiffela, w Londynie Big Ben, w Rzymie Koloseum, a w Berlinie Brama Brandenburska. Każdy, kto przyjedzie do stolicy Niemiec, chce przejść między doryckimi kolumnami na Plac Paryski i przespacerować się aleją Unter den Linden, obejrzeć z bliska pięciometrową, miedzianą rzeźbę uskrzydłonej Nike, kierującej kwadrygę do miasta czy pozachwycać się rzeźbionymi na filarach scenami zaczerpniętymi z rzymskiej mitologii. Na ironię zakrawa fakt, że budowla ta, nazywana niegdyś Bramą Pokoju, w czasach Zimnej Wojny stanowiła część Muru Berlińskiego i budziła raczej negatywne emocje. Dopiero po upadku Żelaznej Kurtyny stała się symbolem niemieckiej jedności i magnesem dla przyjezdnych.

Zdjęcie na tle Bramy Brandenburskiej to obowiązkowy punkt w planie każdej wycieczki. Indywidualnej czy zorganizowanej.

Tłum oblegał berliński symbol i jak zwykle setki obiektów próbowało objąć budowlę w kadrze. Ciepłe, majowe popołudnie z przyjemnie grzejącym słońcem zapewniało idealną pogodę do zwiedzania miasta. Turyści skwapliwie korzystali ze sprzyjających warunków i na Placu Paryskim, a także między wszyst-

kimi sześcioma kolumnami z jasnego piaskowca, rozbrzmiewały rozmowy po niemiecku, polsku, francusku, włosku, angielsku, szwedzku, japońsku, a nawet po hebrajsku. Niektórzy przechadzali się leniwie, inni, z obowiązkową mapą miasta w rękę, poświęcali obiektowi jedynie kilka minut, by zdążyć zobaczyć wszystkie atrakcje, które mieli zaplanowane, a jeszcze inni siedzieli na krawężnikach lub na nagrzaną kostkę brukowej i chłonęli atmosferę niemieckiej stolicy. Oczywiście część zwiedzających była z dziećmi i już na pierwszy rzut oka dało się ocenić, które z nich czerpią z wycieczek autentyczną radość, a które czekają jedynie, aż rodzice zabiorą je do MacDonalda na cheeseburgera z frytkami. Uwagę zwracała również grupa emerytów przemieszczająca się z przewodnikiem omawiającym niemożliwe do zapamiętania szczegóły.

Między turystami przechadzali się handlarze suvenirami – breloczkami, kubkami i kolorowymi chustami przedstawiającymi Bramę Brandenburską, a także inne znane budowle, nie tylko z Berlina. Sprzedawcy lodów z przenośnymi zamrażarkami zawieszonymi na ramieniu nagabywali potencjalnych klientów, a biznesmeni, którzy wyszli na chwilę z przeszklonych jam biurowców i postanowili zjeść coś między kolejnymi zebraniem i godzinami spędzonymi na wpatrywaniu się w kolumny Excela, odpoczywali w milczeniu, wystawiając twarze do słońca.

Po prowadzącej w kierunku Bramy Brandenburskiej ulicy 17 Czerwca kursowały samochody, skutery oraz autokary. Nikt nie zwracał na jeżdżące pojazdy specjalnej uwagi, stanowiły one element tła, obowiązkową oznakę cywilizacji. Ot, kiedyś widziało się tu konie i dorożki, a w obecnych czasach ich rolę przejęły osobówki i minivany.

Nikt też nie zwracał uwagi na mknącą szeroką, trzypasmową

aleją srebrną ciężarówkę Mercedes Actros. Nie wyróżniała się wśród innych uczestników ruchu, choć jej gabaryty sprawiały, że była nieco bardziej widoczna. Nie nabierała gwałtownie prędkości, nie wykonywała dziwnych manewrów. Po prostu sunęła po równej nawierzchni, prowadzona pewną ręką kierowcy. Promienie słońca lśniły na wypolerowanej karoserii i odbijały się od przedniej szyby, oślepiając każdego, kto chciałby zajrzeć do kabiny. Naturalnie, mając do wyboru perłę niemieckiej architektury klasycystycznej lub też produkt niemieckiej myśli motoryzacyjnej, większość ludzi wybierała tę pierwszą.

Ciężarówka, podobnie jak inne pojazdy, zwolniła, gdy dotarła do końca ulicy 17 Czerwca, ale, zamiast skręcić w prawo lub w lewo w Ebertstraße, pojechała prosto, wtoczyła się na chodnik tuż przed Bramą Brandenburską i tam stanęła. Dopiero wtedy zaczęła budzić zainteresowanie. Ludzie z początku patrzyli z zaciekawieniem, ale wraz z upływem kolejnych sekund pojawiły się głosy, że być może kierowca zasłabł i należałoby sprawdzić czy wszystko w porządku. Silnik pojazdu wciąż pracował na jałowym biegu.

Sprawą zainteresowały się służby porządkowe – dwóch przebywających akurat w pobliżu policjantów podeszło do ciężarówki i jęło nawoływać kierowcę. Nie było odpowiedzi. Jeden ze stróżów prawa, Klaus, funkcjonariusz z piętnastoletnim doświadczeniem, postanowił zbadać dziwne zjawisko dokładniej. Zręcznie wdrapał się na stopień przy drzwiach i ostrożnie uniósł głowę tak, by znalazła się na wysokości bocznej szyby.

Turyści z coraz większym zaciekawieniem obserwowali nietypową scenę. Otoczyli ciężarówkę, ale trzymali się w niewielkiej odległości. Kilka osób głośno komentowało sytuację. Nawet dzieci, wcześniej znudzone, zapomniały na chwilę o Mac-

Donaldzie i również patrzyły na mercedesa.

Policjant zajrzał do środka i ze zdumieniem stwierdził, że kierowca, cały i zdrowy, siedzi spokojnie na swoim miejscu i majstruje coś przy radiu. Klaus zapukał w szybę, ale nie został zaszczycony ani jednym spojrzeniem. Pomyślał, że może mężczyzna po prostu nie usłyszał pukania, ale z wnętrza dobiegały przytłumione odgłosy muzyki.

Zapukał jeszcze raz, znacznie mocniej. Znowu nic. To go zdenerwowało, szarpnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Ale tym razem kierowca na niego spojrzął.

– Proszę zgasić silnik i wysiąść! – krzyknął Klaus rozkazującym tonem.

Tamten nie zareagował. Patrzył na policjanta z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– Proszę pana, ostatnie ostrzeżenie! – zagroził stróż prawa. Znowu nic.

Tego Klaus miał już powyżej dziurek w nosie. Sięgnął do kabury z pistoletem, odpiął guzik zabezpieczający i ujął kolbę.

– Liczę do trzech i...

Kierowca spojrzął mu prosto w oczy z cynicznym uśmiechem. I nacisnął jakiś przycisk na panelu radia.

Klaus nie zdążył zareagować. Poczłł gorąc i dotkliwy ból w wielu miejscach, jakby jego ciało nagle zmieniło się w jedną wielką, straszliwą ranę. Ostatnim, co zarejestrował otępiony cierpieniem mózg, było wrażenie lotu. Policjant umarł, zanim jego zmasakrowany korpus runął na ziemię w odległości kilkunastu metrów od ciężarówki.

Naczepa pojazdu przestała istnieć, a w jej miejsce pojawiła się kula ognia i czarnego dymu. Potworny huk przetoczył się ulicą 17 Czerwca, objął Plac Paryski i pomknął Unter den Linden.

Fala uderzeniowa dopadła najbliższych stojących turystów i odrzuciła ich w tył, wprost na kolejne rzędy gapiów. Ostre niczym brzytwa odłamki metalu z elementów konstrukcyjnych ciężarówki, a także gwoździe i śruby, którymi otoczona była umieszczona w naczepie bomba, zebrały śmiertelne żniwo. Zabójcze pociski zostały rozrzucone w promieniu ponad stu metrów, wyryły głębokie bruzdy w kolumnach Bramy Brandenburskiej, uszkodziły rzeźbę Nike na jej szczycie i przeorały kończyny oraz korpusy pechowych turystów.

Panika wybuchła zaledwie kilka sekund po eksplozji. Ludzie rzucili się do ucieczki bez ładu i składu, byle dalej od piekła, które się rozpętało. Para starszych osób z jednej z wycieczek również próbowała uciekać. Gdy kobieta upadła i nie dała rady wstać, mężczyzna zawrócił, by jej pomóc. Tłum przerażonych turystów pędził jednak na oślep, nie zważając na nic ani nikogo na swojej drodze. Na placu zostały dwa nieruchome, skulone w obronnym odruchu ciała. Dzieci płakały ze strachu, a rodzice z ulgi, widząc swoje pociechy całe i zdrowe. Niektórzy z rozpaczyny nad zabitymi. Ranni siedzieli na ziemi, inni leżeli nieruchomo w kałużach krwi. Jakiś mężczyzna próbował wyciągnąć wielki kawał blachy wbity w pierś, a nieco dalej kobieta w średnim wieku przyglądała się zszokowana kikutowi swojej lewej ręki.

Część spanikowanych wtargnęła na prowadzącą w kierunku Bramy ulicę, wprost pod nadjeżdżające samochody. Na szczęście buchający w niebo czarny dym już z daleka informował nadjeżdżających kierowców, że przy Bramie Brandenburskiej stało się coś złego, więc zwalniali lub zatrzymywali się na poboczu.

Wrzaski w różnych językach mieszały się ze sobą, a okrzyki bólu i przekleństwa łączyły się w jednostajny jazgot ludzkiej tra-

gedii. Niektórzy, tknięci nagłym impulsem, robili zdjęcia i kręcili krótkie filmiki telefonami komórkowymi.

Wkrótce w oddali dały się słyszeć syreny pojazdów ratowniczych. Służby błyskawicznie dojeżdżały na miejsce, potęgując tylko wrażenie kompletnego chaosu. Opanowanie rozszalonego tłumu zajęło sporo czasu i dopiero wtedy można było ocenić skalę zniszczeń.

Gdyby ktoś zdołał na chłodno przyjrzeć się tej scenie, dwie zdumiewające rzeczy przykułyby jego uwagę. Po pierwsze, kabina kierowcy ocalała właściwie nienaruszona, jeśli nie liczyć niewielkiego wgniecenia w tylnej ścianie, wyraźnie widocznego mimo osmalenia. Zdawało się niemożliwością, by tak potężna eksplozja nie dokonała większych uszkodzeń w najbliższym sąsiedztwie wybuchu. Druga rzecz była znacznie dziwniejsza – kabina ciężarówki była pusta.

Dopiero, gdy zapanował jaki taki porządek, jeden z policjantów zwrócił uwagę na otwarte drzwi samochodu. Nie musiał zaglądać do środka, by wysnuć jedyny możliwy wniosek – mieli do czynienia z atakiem terrorystycznym. Jak później relacjonował jeden ze świadków: W panującym zamieszaniu, jeszcze przed przybyciem sił porządkowych, drzwi kabiny otworzyły się, wyskoczył z nich dobrze zbudowany mężczyzna o surowej twarzy, krótko ściętych blond włosach i przeczesujących otoczenie zimnych oczach. Nie niepokojony przez nikogo, szybko wmieszał się w tłum beładnie biegających ludzi i zniknął niczym kamień wrzucony do rzeki.

Jeszcze tego samego dnia gazety, dzienniki informacyjne oraz portale internetowe rozpisywały się o tragedii. Większość wiódących serwisów sieciowych poświęciło zamachowi całą główną stronę. Przybyły na miejsce zdarzenia korespondent jednej z naj-

popularniejszych popołudniówek pisał później:

Berlin dołączył dzisiaj do smutnego zestawienia miast nękanych przez międzynarodowy terrorizm. Po południu, około godziny piętnastej czterdzieści, przed Bramą Brandenburską eksplodowała ciężarówka marki Mercedes. Wybuch spowodowała najprawdopodobniej bomba umieszczona w naczepie pojazdu. Ładunek został specjalnie spreparowany, by wyrządzić jak największe zniszczenia – naszpikowano go gwoździami, śrubami i niewielkimi kawałkami metalu, które eksplozja rozrzuciła we wszystkich kierunkach. Kabinę pojazdu wzmocniono, by kierowca-zamachowiec przeżył wybuch. Według wstępnych szacunków w wyniku zdarzenia zginęły dwadzieścia trzy osoby, dalsze cztery zmarły w szpitalu, a liczba rannych wynosi ponad sto.

Jak zdołaliśmy się dowiedzieć, poszkodowani to głównie turyści, obywatele różnych krajów. Ambasady i główna komenda policji udzielają szczegółowych informacji pod numerami telefonów, które zamieszczamy na dole strony.

Według naszych informatorów wśród zabitych znajdował się Maurice Leblanc, znany francuski biznesmen, powiązany z branżą teleinformatyczną, a także jego żona i siedmioletni syn. Mężczyzna przebywał w Berlinie na wakacjach.

Żadna z organizacji terrorystycznych nie przyznała się do przeprowadzenia zamachu, ale organa ścigania podejrzewają co najmniej dwie najbardziej aktywne ostatnimi czasy.

Sprawca eksplozji najprawdopodobniej przeżył. Zdołał jednak zbiec jeszcze przed przyjazdem sił porządkowych.

Kolejne wieści znajdziecie wkrótce na naszych łamach.

Cień Templariuszy

Copyright © Piotr Żymelka

Copyright © Wydawnictwo Literate

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photo by © Wilma/Adobe Stock

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

książka ISBN 978-83-7995-558-9

ebook ISBN 978-83-7995-559-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Walewska

Korekta: Barbara Mikulska

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@literate.pl

www.literate.pl